

## Grudzień - miesiąc świętowania cz. VIII

Tamten grudzień 2001 roku był straszny. Cały czas miałem gości. Mówi się, że „gość w dom - Bóg w dom”, jednak gdy to trwa... ponad miesiąc, to już drobna przesada. Były i takie dni, że do stołu siadało 15 - 20 osób. A wszystkiemu „winien” nowy Biskup, 50-lecie Wikariatu i jeszcze kilka innych uroczystości. Święcenia biskupie zostały wyznaczone na 1 grudnia. Jednak 29 listopada przyjechał o. Eryk z trzema albertynkami. Na „andrzejki” siostry zrobiły pączki i rozpoczęliśmy świętowanie.

Rano, 1 grudnia pojechaliśmy do Concepción na święcenia biskupie o. Antoniego Reimanna ofm. Konkratorem nowego Biskupa był kard. Julio Terrazas z Santa Cruz, a współkonsekratorami Nuncjusz i abp Jesús Pérez z Sucre. Koncelebrowało Mszę św. jeszcze pięciu Biskupów i około czterdziestu kapłanów. Goście z całego świata, również z Polski. Po uroczystościach wracałem do San Antonio z trzema klerykami, których dostałem do pomocy.<sup>1</sup> Z nami przyjechało również czterech kapłanów i siostra zakonna - Polacy, którzy pracują w Boliwii i przyjechali na sakrę, a teraz postanowili kilka dni spędzić u mnie. Kiedy oni wyjechali, pojawili się następni goście, którzy przyjechali na złoty jubileusz Wikariatu. Dnia 8 grudnia znowu wyjazd do Concepción - uroczystości jubileuszowe. Powrót do San Antonio z następnymi gośćmi, tym razem trzech ojców z Katowic, ks. José Schicker (Niemiec), były proboszcz w San Antonio i jego goście (czworo osób, wśród nich jeszcze jeden ksiądz). Zjawił się również nasz Prowincjał (Boliwijczyk) i kilka zakonnic Boliwijki z parafii San Martín w naszym Wikariacie. Następnego dnia, w niedzielę 9 grudnia odprawiliśmy uroczystą Mszę św. jubileuszową w San Antonio. Potem większość gości się rozjechała, został jeszcze Prowincjał, z którym 13 grudnia pojechaliśmy do Concepción na święcenia kapłańskie jednego z naszych ojców. Następnie przyjeżdżali jeszcze inni goście i tak to trwało do 28 grudnia, kiedy to odwiozłem kleryków do Concepción i uczestniczyłem w święceniach nowego księdza dla Wikariatu. Do San Antonio wróciłem sam! Następnego dnia był wyjątkowy, w domu było cicho, nie było gości. Nie trwało to jednak długo. Następnego dnia przyjechał nasz nowy Biskup. Razem przeżyliśmy pożegnanie starego roku i 1 stycznia 2002 roku świętowaliśmy uroczystość Matki Syna Bożego. Biskup wyjechał 2 stycznia.

---

<sup>1</sup> W naszym Wikariacie klerycy pierwszy miesiąc swoich letnich wakacji spędzają na parafiach i w ten sposób mają praktykę duszpasterską, a drugi miesiąc mają wolny.

## Rada parafialna

Przyjąłem jedną zasadę w duszpasterstwie: nie robię w mieście tego, czego nie mogę zrobić na wioskach i staram się tego trzymać do dziś. Ale oznacza to również, że na wioskach muszą robić to samo, co w mieście. Stąd też przygotowanie do bierzmowania było w całej parafii i tak też było z przygotowaniem katechetów. Od czerwca 2002 roku rozpoczęliśmy kurs dla nich. Każda dzielnica miasta (a było ich sześć) i każda wioska miała przynajmniej po dwóch katechetów. W sumie było ich około 80. Do tego „Parejas Guías” (para prowadząca) - małżeństwo, które prowadziło cotygodniowe spotkania dla rodziców dzieci, które przygotowywało się do Pierwszej Komunii św. Również każda dzielnica i każda wioska miała swoich liderów. To oni byli odpowiedzialni za całe życie religijne. Nad całością czuwała rada parafialna.

W Cochabambie, w Concepción i w wielu innych parafiach do rady należeli przewodniczący wszystkich grup parafialnych. Teoretycznie są to ludzie najbardziej zaangażowani w życie parafii. W teorii tak, ale w praktyce jest różnie. W Hospicio do rady należało ponad 50 osób; po trzech miesiącach, na spotkanie rady przychodziło najwyżej dziesięciu, a po pięciu trzy osoby. W Concepción też było około 50; tam przychodzili prawie wszyscy, ale prawie połowa, to były dzieci (ministranci i z innych grup dziecięcych).

W San Antonio było podobnie. Na pierwszym spotkaniu rady parafialnej, która została po poprzednim proboszczu, też było około 50 osób. Jednak zdałem sobie sprawę z dwóch wielkich niebezpieczeństw. Po pierwsze, każdy chciał załatwić coś tylko dla swojej grupy. Po drugie, co gorsze, na radę parafialną przenosiły się właśnie między partiami politycznymi. A ci, którzy byli przywódcami partii, poprzez swoich członków rady chcieli kontrolować parafię. Ja potrzebowałem radę parafialną, która będzie wolna od polityki, będzie działać dla dobra parafii, będzie mi pomagała i będzie mi doradzała. Postanowiłem, że rada będzie formowana przez sześć osób. Każdy z rady będzie odpowiedzialny za jedną dziedzinę duszpasterstwa: liturgię, grupy parafialne, działalność charytatywną, katechezę, duszpasterstwo w mieście, duszpasterstwo na wioskach (te dwie ostatnie to koordynowanie pracy liderów). I to, co było najważniejsze, zadaniem rady parafialnej było: wiedzieć, koordynować i doradzać, ale decyzję podejmuję ja. Poprosiłem, by każda grupa przygotowała listę z dwoma kandydatami do każdej z sześciu dziedzin. Zazaczyłem, że sam wybiorę członków rady i każdego roku, w sposób wolny zdecyduję, kto z rady pozostanie na następną kadencję, a kogo

zmienię. Poinformowałem też wszystkich, że rada parafialna to są moi współpracownicy i potrzebuję takich, którzy autentycznie będą ze mną współpracowali. Dzięki takiej formie rady uniknąłem wpływu polityków i prywatnych interesów grup parafialnych. Powołałem też dwa inne ciała: radę parafii - tę tworzyli członkowie rady parafialnej, liderzy i przewodniczący grup parafialnych, a także zgromadzenie parafialne - było otwartą formą w której uczestniczyli członkowie rady parafii, władze miejskie i każdy, kto chciał przyjść na takie spotkanie - naradę. Te dwa ciała zbierały się tylko przy wyjątkowych okazjach np. dla omówienia programu odpustu parafialnego.

Taka forma zdała egzamin. Oto przykład: posiedzenie rady parafialnej przed Wielkim Tygodnie 2002 roku.

Po powitaniu przeszliśmy do porządku obrad.

- Niedziela Palmowa. - zaanonsowałem - Zaczynamy przy Betanii.<sup>2</sup> Za organizację procesji odpowiedzialna siostra Terezinha (ona była odpowiedzialna za liturgię).

- Dobrze. - odpowiedziała - A o której Msza św.? Tylko jedna o godzinie 9.00, czy dwie, jak zwykle?

- A jak było w poprzednich latach? - zapytałem innych członków rady.

- Zawsze była tylko jedna, o godzinie 9.00 - odpowiedzieli.

- To tego się trzymamy. - odrzekłem - Czytanie Pasji też siostra organizuje.

- A która, z roku „A”?? - zapytała.

- Oczywiście. Tak, jak jest w kalendarzu liturgicznym. - powiedziałem - no to Niedzielę Palmową mamy zaplanowaną. Teraz Wielki Czwartek. Wyznaczenie „dwunastu” do mycia nóg. Kto jest odpowiedzialny za duszpasterstwo w mieście?

- Ja - odpowiedział pan García.

- No to już mamy tego, kto wyznaczy. - stwierdziłem i kontynuowałem - Po Mszy św. przeniesienie Najświętszego Sakramentu do Betanii. Siostra odpowiedzialna z przygotowanie kaplicy. Potem adoracja do północy. Adoracja dzielnicami, czy grupami parafialnymi?

- Dzielnicami - odpowiedzieli.

- Po ile czasu? Godzina? Pół godziny? - zapytałem.

- Zawsze było po godzinie.

- Są trzy godziny, więc trzy dzielnice wieczorem i trzy od godziny 6.00 rano. - szybko obliczyłem - Pan García informuje liderów o godzinach adoracji. Idziemy do Wielkiego Piątku. Adoracja od godziny 9.00 grupami. Marlene, to twoje zadanie.

---

<sup>2</sup> Nazwa kaplicy na wprost kościoła po przeciwnej stronie głównego placu w mieście.

- To może zaczniemy od ministrantów, a potem... - zaproponowała.
- Marlene, ty to musisz ustalić i uzgodnić z grupami. Która grupa będzie pierwsza, a która ostatnia, to nie nasz problem. - powiedziałem - No to droga Krzyżowa o godzinie 15.00. Kto to przygotowuje?
- Może młodzież? - ktoś zaproponował.
- Marlene, ustal to z siostrą Fracisą. Po Drodze Krzyżowej Obrzędy Wielkopiątkowe. Czytających Pasję organizuje siostra Terezinha. „Siedem słów” o godzinie 19.00. Kto?
- ???
- No to mam propozycję, niech to zrobi rada parafialna - powiedziałem.
- Dobry pomysł - odrzekli - to przewodnicząca zorganizuje.
- Zdjęcie z krzyża - to robią liderzy i procesja, prawda?
- Tak zawsze było.
- No to ja zorganizuję - powiedział pan Garcia.
- Mamy Wielką Sobotę. Procesja po Mszy św. Siostra Terezinha. - zaproponowałem.
- Dobrze - odrzekła.
- Czy jeszcze coś? Pytania? Propozycje?
- Już tak tego wszystkiego bardzo dużo - ktoś zauważył.
- Zgadza się. Jest tego sporo. Więc do roboty. Dziękuję wszystkim za uczestnictwo. Następne posiedzenie rady parafialnej w niedzielę, 7 kwietnia o godzinie 12.00. Zaznaczam, że obecność jest obowiązkowa. Na koniec powstańmy i pomódlmy się za całą naszą parafię: Ojczy nasz...

Całe posiedzenie rady trwało pół godziny. Ale oni wszystko dopięli na ostatni guzik. Widzieli, że są potrzebni, że mają swój udział w życiu parafii. A to posiedzenie w niedzielę po Wielkanocy. Zawsze spotkanie rady odbywało się w ostatnią sobotę miesiąca. Jednak w niedzielę, tydzień po Bożym Narodzeniu, po Wielkanocy i po odpuszcie zapraszałem członków rady na obiad. I to była jedyna „zapłata”, którą otrzymywali ode mnie za swoją pracę. A dla ludzi w parafii ta rada parafialna nabrała znaczenia, więc jej członkowie stanęli stopień wyżej w hierarchii społecznej. Dla nich bycie członkiem rady parafialnej stało się przywilejem.

Muszę jeszcze dodać, że taka forma rady parafialnej zdała swój egzamin, kiedy to 20 maja 2003 roku, zupełnie niespodziewanie, musiałem wyjechać do Polski, aby zrobić badania lekarskie i poddać się leczeniu. Przez trzy miesiące parafia funkcjonowała pomimo tego, że kapłani dojeżdżali tylko na niedzielne Msze św. W tym czasie również przygotowano odpust parafialny w dniu 13 czerwca, normalnie szło przygotowanie dzieci pierwszokomunijnych, działały grupy parafialne.

## Duszpasterstwo w San Antonio

Msze św. w kościele parafialnym były odprawiane w niedziele o godzinie 7.30 i 10.00. Gdy była jakaś uroczystość (Boże Narodzenie, Wielkanoc, Boże Ciało, odpust itp.) wtedy była tylko jedna Msza św. o godzinie 9.00. W tygodniu Msze św. były od poniedziałku do piątku o godzinie 19.30. We wtorki, po Mszy św. było wystawienie Najśw. Sakramentu i nabożeństwo za wstawiennictwem św. Antoniego z Padwy. W soboty nie było Mszy św. w kościele, ale o godzinie 19.30 był różaniec, który najczęściej odmawiano w chiquitano.<sup>3</sup> Na wioski, gdy to było możliwe, jeździłem we wtorki i czwartki. Od godziny 9.00 zaczynała się spowiedź, a po niej Msza św.

Do Pierwszej Komunii św. dzieci przygotowywały się przez rok. Katecheci w mieście i na wioskach mieli spotkania z nimi, a „Parejas Guías” z rodzicami. Miesiąc przed Pierwszą Komunią św. dzieci spowiadały się po raz pierwszy, a te które nie były jeszcze ochrzczone, zostawały włączone do Kościoła. Druga spowiedź była w przeddzień uroczystości. Sam dzień Pierwszej Komunii św. w mieście lub na wioskach był dniem bez alkoholu. W pierwszym roku spowodowało to wielkie wzburzenie ze strony ludzi.

Kiedy powiedziałem o tym na spotkaniu z liderami usłyszałem:

- Ale jak my będziemy świętować? Bez alkoholu? Przecież to się nie da.

- A czy to wasze święto? - zapytałem.

- No pewnie - zakrzyknęli.

- To wy idziecie do Pierwszej Komunii? - podpytywałem z ironią.

- No nie - odpowiedzieli.

- Ale jak myśmy szli, to był alkohol - ktoś przypomniał.

- I kto wtedy świętował, wy czy rodzice? - pytałem dalej.

- Pewnie, że oni. Upili się, a myśmy nic z tego nie mieli.

- No to miejcie pretensje do nich, że wam zniszczyli waszą uroczystość, ale teraz wy nie niszcicie jej innym.

Później okazało się, że zakaz był przestrzegany w 99%. To był prawdziwy cud. W następnym roku nikt już się nie burzył. A jeden z liderów stwierdził:

- Po raz pierwszy mieliśmy prawdziwe święto i wszyscy doskonale się bawili.

I rzeczywiście tak było. W mieście uroczystość przebiegała podobnie jak w Polsce tyle, że dużo, dużo, dużo skromniej. A na wioskach, po Mszy św.

---

<sup>3</sup> Język indian Chiquitos.

przygotowywano wspólny obiad dla wszystkich. Ponieważ zawsze brakowało stołów i krzeseł, to najpierw jadły dzieci, które przystąpiły do pierwszej Komunii, katecheci, „Parejas Guías”, liderzy i ja. A w następnej kolejności rodzice i pozostali uczestnicy uroczystości. Po obiedzie grali w piłkę i bawili się.

Dla mnie, właśnie ten okres Pierwszych Komunii św. był najtrudniejszym z całego duszpasterstwa. Rano Komunia św. w jednej wiosce, a po południu spowiedź w drugiej, wieczorem wracałem do domu, a rano Komunia św. tam, gdzie wczoraj była spowiedź i po południu do następnej wioski... tak to szło przez jakieś półtora miesiąca.

Jednym ze straszliwych problemów, który dotyka Boliwii jest bardzo słaba rodzina, ponad połowa rodzin żyje w konkubinacie, bardzo wiele samotnych matek, dzieci pozostawione przez rodziców i wychowywane przez dziadków lub kogoś z rodziny. Jest bardzo wiele rozbitych rodzin. Spotyka się również problem swoistej poligamii: n.p. pierwsza „żona” z dziećmi mieszka w jednej wiosce, druga z dziećmi w innej wiosce; on przez dwa tygodnie mieszka z jedną, a dwa z drugą. Obie o sobie wiedzą, obie zgadzają się na takie życie. Dlatego Kościół podejmuje wiele działań promujących rodzinę i sakrament małżeństwa. Z tego też powodu w marcu 2003 roku rozpoczęliśmy peregrynacji płaskorzeźby św. Rodziny po rodzinach całej parafii. Biskup poświęcił tę płaskorzeźbę i przekazał ją pierwszej rodzinie. Program w każdym domu był następujący:

- procesyjne wniesienie obrazu do domu,
- rodzina wspólnie z przybyłymi sąsiedzi celebryje nabożeństwo powitania,
- skromny poczęstunek,
- modlitwa rodziny i prywatna modlitwa, która trwa do następnego dnia wieczorem,
- nabożeństwo pożegnania,
- procesyjne przeniesienie obrazu do następnego domu.

Najpierw obraz przeszedł po wszystkich rodzinach w mieście, a potem został przekazany na wioski. Cała peregrynacja trwała ponad dwa lata.

Także dla pomocy rodzinie powołaliśmy do życia grupę Duszpasterstwa Rodzin. Udało się dość łatwo utworzyć taką grupę dlatego, że do San Antonio, po wielu latach, wróciło pewne małżeństwo, które w poprzednim miejscu zamieszkania należało właśnie do takiego duszpasterstwa. Specyfiką tej grupy powinno być to, że jest ona tworzona przez małżeństwa, nie przez poszczególnych małżonków. Trudność polega na tym, że to i mąż i żona muszą wspólnie zdecydować się na przynależność do

tej grupy. Dlatego właśnie ową parę poprosiłem, by utworzyła taką grupę, indywidualnie zapraszając inne małżeństwa. No i jakoś to chwyciło.

Innym problemem w parafii była duża ilość niedożywionych dzieci. Już kilka lat przed moim przybyciem do San Antonio powstał w szpitalu projekt dożywiania dzieci. Dlatego parafia zakupiła pastwiska i krowy aby mieć mleko na ten cel. Po pewnym czasie projekt zaczął podupadać. Kiedy przyszedłem do San Antonio, realizacja projektu polegała na tym, że dzieci zakwalifikowane przez lekarza, przychodziły do szpitala, gdzie dostawały kubek mleka dziennie. Z tym mlekiem szły do domu. Dzieci miesiącami były niedożywione i nie widać było żadnych efektów. Dla parafii było to straszne obciążenie finansowe, gdyż krowy były na mięso, a nie na mleko. Około 25 litrów mleka dziennie pochodziło od 14-16 krów. Pewnie tańsze było by kupowanie mleka niż utrzymywanie tylu krów. Do tego wszystkiego, dowiedziałem się, że dzieci, otrzymując mleko zanosily je do domu, jednak tam go nie piły, tylko tata z mamą mieli je do kawy! Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, to kupiłem 50 kubków. Teraz dzieci musiały wypić mleko w szpitalu. Jaka była reakcja większości rodziców? Już więcej nie wysłali dzieci na dożywianie! Dopiero na nowo zaczęły przychodzić po następnej obowiązkowej kontroli, kiedy to rodzicom „oberwało się” od lekarza. Z następnym pomysłem przyszła jedna z zakonnicek. Postanowiła powołać grupę parafialną, która zajmie się realizacją projektu dożywiania. Dzięki pomocy Biskupa zorganizowałem kuchnię i jadalnię w jednym z budynków parafialny. Mleko zostało wzbogacane witaminami. Teraz projekt zaczął przynosić pozytywne efekty. Po miesiącu, dwóch, dzieci wychodziły z zagrożenia niedożywienia. Każdego miesiąca takich dzieci było około 30 - 50 dzieci.

Jednak dla parafii problem utrzymywania krów istniał. Do tego była jeszcze druga farma z krowami parafialnymi. Ta farma miała wspomóc finansowo parafię. Na obu farmach razem było około 150 krów i jakieś 50 cielaków. A w tamtych warunkach, żeby wyjść na zero, trzeba było mieć przynajmniej 1000 krów, poniżej było tylko dopłacanie do interesu. Postanowiłem zlikwidować „obie dochodowe” farmy. Z pomocą weterynarza pozostawiłem 15 krów na realizację projektu dożywiania dzieci i około 40 cielaków na podtrzymanie hodowli i na różne akcje parafialne. Z resztą krów zacząłem od nowa kontynuować jeden ze starych projektów: pomoc w zakładaniu hodowli krów. Na czym to polegało? Przynajmniej cztery rodziny tworzyły grupę. Wspólnie przygotowywały pastwisko. Na pięć lat dostawały od pięciu do dziesięciu krów. Przychówek z tej pożyczki był już jej własnością. Po pięciu latach musiałyby oddać taką samą liczbę krów, którą mogła dostać następna grupa. Teraz już utrzymanie farmy nie było aż takim

problemem, a dwa projekty były kontynuowane i zaczęły dobrze się rozwijać. No i tak obniżone wydatki można już było traktować jako działalność charytatywną, a nie marnotrawstwo.

Bardzo poważnym problemem w mieście i na wioskach była klanowość przykryta przynależnością do różnych partii politycznych oraz walka o władzę i dominację nad innymi, co oznaczało również zwiększone dochody. Głównie dla dobra szpitala, ale nie tylko, musiałem mieć dobre układy z burmistrzami. Za moich czasów było ich dwóch. Pierwszy to ex-kleryk z seminarium diecezjalnego. W jego mentalności jeszcze coś z czasów seminaryjnych zostało i jego postawa wobec mnie była często taka jak kleryka wobec wychowawcy. Do tego jeszcze jego żonę przez rok uczyłem religii w Concepción. Współpraca układała się bardzo dobrze. Po nim przyszedł następny burmistrz, który szkołę średnią i studia ukończył dzięki stypendium z parafii. Na każdym kroku podkreślał, że wykształcenie zdobył dzięki Kościołowi; no i starał się okazać swoją wdzięczność. A więc i z nim była bardzo dobra współpraca. Znając sytuację, starałem się, aby nasze kontakty ograniczały się tylko do oficjalnych spotkań i do współpracy. Unikałem wszelkich spotkań towarzyskich i mieszania się w ich rozgrywki. Niestety, na wiele się to nie zdało. Te dobre układy z burmistrzami i z większością rady miejskiej, która ich popierała, powodowała nienawiść ze strony partii opozycyjnej. Szefem tej partii był człowiek, który za czasów jednego z poprzednich proboszczów pracował na parafii. Odszedł z tej pracy za czasów następnego proboszcza. Widział, jakie pieniądze przechodzą przez parafię na realizację różnych projektów. To powodowało, że za wszelką cenę, wraz ze swoimi ludźmi, chciał „wkręcać się” w parafię, by coś z tego skapnęło do ich kieszeni (oczywiście, nie chodziło tu o jakąś pracę na etacie w parafii). Drugim punktem zapalnym był szpital. Gdyby mieli swoich ludzi w szpitalu, mając ich także w radzie miejskiej mogliby robić przekręty na kilkanaście tysięcy dolarów rocznie z pieniędzy państwowych (dochody własne szpitala były zbyt marne i nie warte zachodu). Na mieszanie ich polityki w parafię nie mógłbym pozwolić. A gdybym pozwolił na przekręty w szpitalu, to sam, jako administrator, bym poszedł do więzienia - przed tym musiałem się bronić. Byłem więc dla nich wrogiem nr. 1. Na pisanie jakiś fałszywych donosów do Biskupa nie odważyli się, bo Biskup był zbyt częstym gościem w parafii i widzieli, że mam jego całkowite poparcie. Została im tylko wojna podjazdowa: pozbawienie lekarza etatu w szpitalu, usiłowanie przejęcia farmy szpitalnej, usiłowanie przejęcia budynków parafialnych, podpalenia pastwisk w taki sposób, by spaliły się krowy itp. Na szczęście dla mnie, ale nie dla ludzi, tylko udało im się narobić problemów z etatem lekarza.

Ale nie tylko ja byłem obiektem ich ataków. Jedna z ich akcji mogła zakończyć się tragedią. Było to tak. Boliwia dostała pomoc zagraniczną dla ludzi z wiosek. Miały formować się czteroosobowe zespoły, które przedstawiały propozycję prac, np. porządkowanie jakiegoś terenu. Spośród siebie wybierały jednego odpowiedzialnego za odbieranie wypłaty raz na tydzień. W skład takiej grupy nie mógł wchodzić nikt, kto miał państwowy etat, a tym bardziej nie mógł być upoważnionym do odbierania wypłat ktoś, kto był burmistrzem, członkiem rady miejskiej czy pracownikiem administracji miejskiej. Projekt był przedstawiany władzom miejskim i po zatwierdzeniu go przez tę radę i podpisany przez burmistrza trafiał do organizacji, która zarządzała pieniędzmi. Ta organizacja, rozpatrywała wszystkie projekty i te najbardziej przydatne zatwierdzała, tym samym przyznając grupie możliwość pracy i zarobienia pieniędzy. Z projektów, które wpłynęły, władze miejskie zatwierdziły dziewięć. Następnie zarząd organizacji zatwierdził tylko dwa. Projekty zostały zrealizowane i ludzie odebrali swoje wypłaty - tu wszystko było dobrze. Ale okazało się, że są realizowane jeszcze jakieś inne projekty. Grupy pracowały, ale nie dostawały wypłat. Któregoś dnia burmistrz gdzieś wyjechał a od rana pod urzędem miejskim zaczęli gromadzić się ludzie. Okazało się, że realizują te „inne” projekty. Teraz zbuntowali się i przyszli domagać się od burmistrza swoich wypłat. Po południu otrzymali od kogoś kserokopię listu burmistrza do organizacji z informacją, że ów list był powodem wstrzmania ich wypłat. Zaczęło wrzeć. Burmistrz powiadomiony o proteście, wracając do San Antonio, zatrzymał się w sąsiedniej wiosce. Na drogę została wysłana bojówka, która miała pobić, a jeżeli będzie trzeba to nawet zabić burmistrza! Najważniejsze, by nie dopuścić do jego przyjazdu do miasta. Organizatorzy bojówki nie wiedzieli, że burmistrz miał przyjechać z „obstawą”. Trzeba dodać, że wszyscy, tak z jednej, jak i z drugiej strony byli uzbrojeni w karbiny. Jaki mógł być finał takiego starcia? Tylko jeden: ranni i zabici. Gdyby doszło do walki na drodze, przeniosła by się ona do miasta. Wśród protesujących byli członkowie ze wszystkich partii. Interweniować nie mogłem, bo było by to wmiesznie się w ich rozgrywki. Gdybym się wtrącił, sytuacja jeszcze by się pogorszyła. Czekałem więc aż sami poproszą o pomoc. Po południu, około godziny 14 zjawili się pierwsi z prośbą, potem następni. Teraz mogłem już interweniować. Poszedłem do protestujących i powiedziałem:

- Kilku z was poprosiło mnie o mediację między wami i burmistrzem. Zgadzam się, ale pod następującymi warunkami:

- całkowita gwarancja bezpieczeństwa dla burmistrza i jego ludzi,
  - spotkanie odbędzie się w moim domu,
  - wyznaczycie trzech reprezentantów i trzy osoby będą ze strony władz miasta.
- Ale burmistrz jest całkowicie bezpieczny - ktoś krzyczał - po co jakieś gwarancje?
- Spotkanie niech się odbędzie przy wszystkich - wołał ktoś inny.
- No to załatwajcie sobie sami, ja idę do domu i nic mnie nie obchodzi - odrzekłem.
- Niech ojciec zostanie - zaczęli krzyzczeć inni - wybierzemy przedstawicieli!
- To decydujcie co chcecie - mówię - albo moje warunki, albo róbcie, co wam się podoba.
- Teraz zaczęli się przekrzykiwać, ale już widziałem, że większość miałem za sobą, więc powiedziałem:
- Głosujcie! Kto jest za moimi warunkami niech podniesie rękę.
- Znacznie większa część rąk była w górze. Aby nie drażnić reszty, powiedziałem:
- Większość jest za. Nie ma już sensu pytać, kto jest przeciw. Wybierzcie teraz trzech przedstawicieli. Musicie też zapewnić bezpieczeństwo burmistrzowi. Słyszałem, że wyruszyła jakaś grupa, by zarzącać burmistrza w drodze - teraz już mogłem mówić bardziej otwarcie - musicie więc ją powstrzymać.
- Nikt nie chce zatrzymać burmistrza - kilku krzyknęło.
- Ja nie wiem, czy chcą, czy nie... doszły mnie takie pogłoski. Więc, aby nie było żadnych problemów, wybierzcie spośród siebie kilka osób, które sprawdzą, czy droga jest wolna i gdyby ktoś rzeczywiście czekał na drodze na burmistrza, to go powstrzymacie. Teraz idę do domu. Wybierzcie swoich przedstawicieli i za pół godziny niech przyjdą do mnie. Skontaktują się przez radio z burmistrzem informując go o moich propozycjach.
- Rzeczywiście, po półgodzinie trzech reprezentantów przyszło. Byłem zadowolony ze składu tej „komisji”, bo nie było w niej żadnego z miejscowych krzykaczy. Skontaktowali się z burmistrzem. Powiadomili go, że droga jest wolna<sup>4</sup> i czekają na niego, aby porozmawiać. Ma wyznaczyć dwie osoby, które będą mu towarzyszyły w rozmowach. Godzinę później pod probostwo podjechały dwa samochody, a na nich ponad pięćdziesiąt osób. To

---

<sup>4</sup> Grupa, która miała sprawdzić drogę, rzeczywiście spotkała bojówkarzy i ich zmusiła do powrotu do San Antonio.

była „obstawa” burmistrza. Teraz sobie w pełni uświadomiłem, jakie mogły być owoce spotkania z bojówką.

Burmistrz z dwoma towarzyszami i trzyosobowa komisja protestujących weszli na probostwo. Zrobiłem im kawę i po powitaniu przeszliśmy do konkretów. Zacząłem:

- Poproszono mnie, bym był mediatorem między wami. Skoro na to się zgodziłem, to musicie wiedzieć, że teraz nie trzymam niczyjej strony. Jestem tu po to, aby wam pomóc i abyście mogli się dogadać. Dlatego moje warunki są następujące:

- rozmawiamy tylko o tej sprawie, która nas interesuje; jakiegokolwiek inne sprawy zostawiamy na później,
- ja udzielam głosu i nikt, komu nie udzielę głosu nie może się odzywać,
- ten kto chce coś powiedzieć podnosi rękę i mówi wtedy, gdy mu pozwolę,
- jeśli ktoś będzie mówił nie na temat, albo obrażał drugiego, natychmiast odbieram mu głos,
- jeśli jakaś wypowiedź nie będzie jasna, wtedy ja będę przerywał i pytał, gdy ktoś inny chce zapytać, musi podnieść rękę i czekać na pozwolenie.

Czy to jest jasne? - zapytałem.

- Tak - odpowiedzieli wszyscy.

- Czy zgadzacie się na moje warunki?

- Tak - odrzekli.

- W takim razie, jeden z przedstawicieli protestujących niech powie, jaki jest powód waszego protestu - udzieliłem głosu protestującym.

- Pracujemy, a od miesiąca nie dostaliśmy wypłaty. Przyszliśmy, aby dowiedzieć się dlaczego burmistrz wstrzymał nasze wypłaty.

- Dobrze - powiedziałem - wiemy już jaki jest powód protestu: zarzut, że burmistrz wstrzymał wam wypłaty. Co na to burmistrz?

Teraz sprawa zaczęła się klarować, bowiem burmistrz wiedział tylko o dwóch projektach, które on oficjalnie załatwił, i które zostały ukończone, a pracujący już dawno odebrali swoje wypłaty. W trakcie dialogu wyjaśniło się, że kilka projektów zostało załatwionych nielegalnie. Już wcześniej zaczęły docierać do burmistrza sygnały o braku wypłat. Nie wiedząc o co chodzi, skierował do organizacji od projektów list z prośbą o wyjaśnienie w sprawie owych projektów, które nie były przedstawione przez władze miejskie i o powód wstrzymania wypłat. Na szczęście wszystkie jego wypowiedzi były poparte dokumentami. Wszystko się wyjaśniło. Teraz reprezentanci

protestujących poprosili burmistrza, aby powołał komisję, która zbada, kto stoi za nielegalnym przedstawieniem projektów i kto stoi za wstrzymaniem wypłat. Rozmowy trwały prawie dwie godziny. Po wszystkim został spisany protokół i podpisany przez wszystkich uczestników spotkania. Następnie w całkowitej zgodzie udaliśmy się do protestujących. Ich przedstawiciel odczytał treść protokołu. Oczywiście zaraz odbyło się kilka przemówień i na szczęście wszyscy podkreślali pracę nad zgodą i poprawieniem warunków życia wszystkich. Nie było żadnych oskarżeń ani ataków. Po modlitwie w intencji całej parafii i po błogosławieństwie wszyscy spokojnie się rozeszli.

A jaka była cała prawda? Szef opozycyjnej partii i jednocześnie radny miejski ze swoimi ludźmi, z pomocą kolegów partyjnych z Santa Cruz, przedstawiając się w organizacji odpowiedzialnej za projekty jako reprezentanci burmistrza, załatwił kilka projektów. Zorganizował grupy pracowników i zmusił ich, aby upoważnili go do odbierania z banku ich wypłat. W tym samym czasie otworzył sklep spożywczy. Odbierał regularnie ich wypłaty a za nie, w hurtowniach, robił zakupy. Robotnikom chciał płacić nie gotówką, ale towarami i oczywiście nie po cenach hurtowych, ale detalicznych - to miał być jego zysk. Nie spodziewał się tylko, że robotnicy zaprotestują. List od burmistrza do organizacji z prośbą o wyjaśnienia spowodował, że miała być wysłana kontrola. Dzięki kolegom partyjnym kopia tego listu dotarła do niego. Ze swoimi ludźmi wpadł więc na pomysł, żeby zrobić burmistrza odpowiedzialnym za wstrzymanie wypłat. Problem tylko polegał na tym, że wypłat nie oddawał pracującym już od około miesiąca, a list był wysłany na tydzień przed protestem. Dla kogoś, kto kojarzył daty i fakty było jasne, że list nie miał żadnego wpływu na brak wypłat. Okazało się też, że wypłaty nigdy nie były wstrzymane i pieniądze na nie były regularnie wypłacane z banku. Teraz, gdy pracujący, nic nie wiedząc o tych kombinacjach zaprotestowali, trzeba było nie dopuścić do ich spotkania z burmistrzem, który mógł im wszystko wyjaśnić. Najprościej było go pobić albo i zabić, a potem całą odpowiedzialność zrzucić na niego. Ale nieświadomi protestujący (bez względu na to, jaką popierali partię) szukali mojej pomocy. Spotkanie protestujących z burmistrzem i dialog pokrzyżowały wszystkie plany i oddaliły groźbę przelewu krwi.

Kto na tym stracił? Ten co chciał zarobić? Teraz szybko musiał zwracać ludziom ich należności. Co prawda, płacił im towarami ze swego sklepu, ale musiał też „coś dodać”, aby nie domagali się gotówki i nie zaczęli głośno mówić. A że go to sporo kosztowało, świadczy fakt, że gdy przyjechał kontroler, pytał ludzi:

- Czy to prawda, że przez miesiąc nie dostawaliście wypłat?
- Nie! - odpowiadali - Dostawaliśmy na czas.
- Czy to prawda, że nie dostawaliście pieniędzy, tylko towary: ryż, oliwę, piwo...?
- Nie! Płacono nam w gotówce.
- To dlaczego protestowaliście???

Na to nie padła już żadna odpowiedź. Kontrolujący tylko uśmiechnął się z politowaniem, wsiadł do samochodu i odjechał. Kilka dni później sklep, ogołocony z towarów, został zamknięty. A ja o większości tych szczegółach dowiedziałem się kilka tygodni później. Nic więc dziwnego, że byłem „ulubieńcem” partii opozycyjnej. A ja nie byłem ani za nimi, ani przeciw nim, tylko za moją parafią.

## **Szpital parafialny**

Ukończyłem Technikum Kolejowe Ministerstwa Komunikacji w Ostrowie Wielkopolskim na kierunku: trakcja elektryczna z tytułem: technik elektryk. Studiowałem teologię, a na seminarium z Historii Kościoła napisałem pracę magisterską o działalności charytatywnej Konferencji św. Wincentego à Paulo w parafii mojego pochodzenia. Czy więc może być jakieś lepsze przygotowanie do... administrowania szpitalem???

Jakież było moje zdziwienie, gdy ustępujący proboszcz, wprowadzając w sprawy parafii poinformował mnie, że szpital jest parafialny, jest na umowie z państwem, ale jest administrowany przez proboszcza. Co było robić?

Szpital obejmował swoją działalnością teren naszej parafii, a więc obszar około 5000 km<sup>2</sup> zamieszkały przez około 6000 ludzi. Wszystkich pacjentów (hospitalizowani i przychodzący na wszelkiego rodzaju konsultacje, badania, nie licząc szczepień) było około 3500 rocznie. Chociaż budynki i ilość łóżek<sup>5</sup> teoretycznie spełniały normy, ale bardziej przypominało to jakąś podrzędną stację sanitarną, a nie szpital. Z trzech budynków, jeden nigdy nie był wykorzystany, a drugi był graciarnią.

Moje administrowanie szpitalem rozpoczęło się od uruchomienia stojącego od kilku lat niewykorzystanego budynku. Cztery pokoje były puste, piąty był zamieszkały przez pewną wolontariuszkę z USA, a w szpitalu brakowało miejsca. Najdziwniejsze było to, że użytowanym budynku była tylko jedna sala z trzema łózkami i w dodatku była ona damsko - męska.

---

<sup>5</sup> W Boliwii normą jest jedno łóżko szpitalne na 1000 mieszkańców.

Recepcja była jednocześnie gabinetem zabiegowym (szafa oddzielała kozetkę od reszty pomieszczenia). Apteka była wielkości polskiego kiosku ruchu. Nie było kuchni. Sala operacyjna nie spełniała nawet norm gabinetu zabiegowego (drzwi były tak nieuszczelne, że, gdy były zamknięte, to muchy przez nie wchodziły). Sala porodowa była zaraz przy drzwiach wejściowych do szpitala. O bałaganie lepiej nie wspominać!

Wyremontowaliśmy salę operacyjną. Od władz miejskich dostaliśmy klimatyzację do tej sali. Choć nie spełniała jeszcze wszystkich norm, ale to już było coś. Trzeba było pomyśleć, co zrobić, aby spełnić normy bloku operacyjnego. Wtedy zdarzyło się coś szczególnego. Na zaproszenie jednej z włoskich parafii, na odwiedzinach do Włoch pojechał z San Antonio lekarz i jedna z zakonnicek. W tym czasie, jeden z lekarzy we Włoszech dowiedział się, że jest chory na raka, postanowił więc, iż swój prywatny gabinet przekaże na misję. Do tego jeszcze zorganizowano zbiórkę rzeczy potrzebnych do szpitala. Dary były bardzo cenne, między innymi aparat do USG, dwa aparaty do EKG, narzędzia chirurgiczne, laboratorium razem z meblami, łóżka szpitalne, bielizna, talerze i wiele innych rzeczy. To wszystko w kontenerze dotarło do naszego szpitala (kontener też był prezentem). Mając tyle rzeczy, teraz trzeba było przygotować odpowiednie pomieszczenia. Zaczęła się więc rozbudowa. Stara sala operacyjna teraz doskonale nadawała się na gabinet USG i EKG. Wybudowaliśmy nową salę operacyjną, budynek obok szpitala, z rupieciarni zmienił się w część bloku operacyjnego. Salę porodową przenieśliśmy do budynku, który dotychczas był nieużywany. Tam też znalazł swoje miejsce gabinet zabiegowy i sala pielęgniarstwa. Powstała też pralnia i pomieszczenie rekreacyjne. Ale najważniejszym było to, że oddzieliliśmy gabinety lekarskie i diagnostyczne oraz administrację od części, gdzie byli hospitalizowani chorzy. Całość prac kosztowała ponad 18000\$. Te pieniądze pochodziły z kolekt przeprowadzonych w kilku parafiach w Polsce, z pomocy od naszego Biskupa, od Komisji Misyjnej Episkopatu Polski i z fundacji bawarskiej, która pomaga w utrzymaniu naszego Wikariatu.

Sam szpital, dzięki Konkordatowi, był na umowie z państwem. Na czym ona polegała? Państwo powinno dać wystarczająco etatów dla pracowników oraz pokryć koszty związane z bezpłatnym prowadzeniem kobiet w ciąży, porodów, szczepień i leczenia dzieci do piątego roku życia.<sup>6</sup> W pozostałej swej działalności szpital był prywatnym. Za to Kościół dawał budynki z wyposażeniem, ich utrzymanie oraz administrację. A jak to wyglądało w praktyce? Kościół wywiązywał się z umowy, często nawet

---

<sup>6</sup> Dziś to ubezpieczenie obejmuje dzieci i młodzież do 21 roku życia.

opłacając dodatkowe etaty. Z państwem były ciągle kłopoty. Dla szpitali kościelnych nigdy nie było tyle etatów ile było potrzeba. Pieniądze od państwa szły poprzez władze miejskie; nigdy nie były w takiej ilości jak trzeba i nigdy nie dochodziły na czas. Muszę przyznać, że miałem wyjątkowe szczęście, bo w przypadku San Antonio, burmistrz płacił zawsze na czas i tyle, ile trzeba. Ale był to chyba jedyny przypadek w Boliwii. Jednak kpina była ilość etatów i problemy z ich utrzymaniem. Szpital musiał pracować 24 godziny na dobę mając jednego lekarza, jedną pielęgniarkę i troje sanitariuszy!!! Do tego jedna sanitariuszka, sprzątaczką, kierowca byli na etacie parafii. Dentysta i aptekarka byli na swoim rozrachunku, a pomieszczenia szpitalne i sprzęt „dzierżawili” płacąc bezpłatną pracą w administracji. Gdyby mieli płacić za dzierżawę gotówką, musieliby zamknąć interes. Na etacie państwowym było jeszcze kilku pielęgniarzy, którzy mieszkali i pracowali na wioskach. Byli oni pracownikami szpitala, ale działali w swoich rejonach, a nie w samym budynku szpitala.

Lekarz, który pracował w szpitalu pochodził z El Puquio (pobliska wioska) i ze swoją rodziną mieszkał u swoich teściów w San Antonio. Chociaż sam bezpartyjny, był popierany przez burmistrzów i część rady miejskiej z dwóch partii, które się porozumiały we władzach miejskich. Niestety, stare animozje pomiędzy klanami rodzinnymi, zazdrość, pazerność i partyjni koledzy na stołkach w urzędach wojewódzkich sprawiały, że część radnych z opozycji załatwiała, iż kilka razy pozbawiano lekarza etatu. Jak może funkcjonować szpital gdzie nie ma żadnego lekarza? Musiałem stoczyć całe wojny z naczelnym lekarzem wojewódzkim, by ten etat odzyskać.

Oczywiście, ani rozbudowa, ani jakikolwiek remont, ani nawet funkcjonowanie szpitala nie było by możliwe, gdyby nie pomoc ekonomiczna z zewnątrz. Dochody z „prywatnej” działalności szpitala, tylko w nieznacznej części pokrywały wydatki. Kiedyś, podczas jednej z kontroli zapytano lekarza, o kondycję finansową szpitala. Poinformował:

- W tym miesiącu było prawie 600 boliwianos dochodu, wydaliśmy około 200 na środki czystości i jedzenie dla pacjentów. W kasie jest trochę ponad 400.

- To bardzo dobrze się gospodarujecie, skoro nie ma długów - pochwalił kontrolujący.

- Całą ekonomię prowadzi ojciec, proszę jego zapytać - dodał lekarz.

O tę „całą ekonomię” już mnie nie zapytano, bo dochodu było 600, w szpitalu wydali 200, a ja wydałem około 16000 boliwianos z funduszy pochodzących od dobrodziejów.

Jednak teraz szpital stawał się tym, czy powinien być. Nawet zostały zainstalowane dzwonki do przywoływania pielęgniarki do łóżka pacjenta. Z

tym był mały problem, bo w San Antonio mieliśmy prąd od godziny 19.00 do 22.00., dlatego całe urządzenie musiało być na 12 V. W Polsce oferowano mi takie aparaty na 220V. Na szczęście, mój brat zrobił dla mnie taki aparat, a brat jednego z franciszkanów konwentualnych (Boliwijczyk) dostarczył odpowiednie kable do połączeń z pokojami.

Dnia 15 lutego 2004 roku o godzinie 15.00 Biskup poświęcił rozbudowany i wyremontowany szpital, a dla mnie było to pożegnanie z pracą administratora. Bogu niech będą dzięki!